



Jan Maszczyzyn

Konrad Zielonka

UNIWERSYTET ŚLĄSKI W KATOWICACH

 <https://orcid.org/0000-0002-5367-1380>

„Wiek XIX jakby przeciekł nam przez palce”

Rozmowa z Janem Maszczyzyinem

“The nineteenth century seems to have slipped through our fingers”

An Interview with Jan Maszczyzyn

Konrad Zielonka: Zacznijmy od steampunku – gatunku, w którym tworzysz, jego charakterystycznej stylistyki oraz problematyki, która pojawia się w Twoich utworach. Kosmiczne parowce, animozje społeczne, problem maszyn i maszynizacji. To wszystko obecne jest w Twoich tekstach. Powiedz więc, proszę, czym jest dla Ciebie steampunk.

Jan Maszczyzyn: Wiek XIX był fenomenalnym okresem w rozwoju cywilizacji ludzkiej. Szkoda, że trwał tak krótko. Wszelkie ówczesne marzenia i tęsknoty, będące dziełem istot zamkniętych w okowach planety i wraz z nią rzuconych w niewyobrażalnie ogromną przestrzeń kosmiczną, są dziś dla nas nie tylko postromantyczne, ale i z wielu względów inspirujące do ponownego w nie wglądu i ich aktualizacji. I to mnie w steampunku wciąga najbardziej. Plus stylizacja językowa. Na obczyźnie – po trzydziestu latach niepisania, nieporuszania się w meandrach gramatyki polskiego słowa twórczego – wykształcenie takiego języka jest sztuką samą w sobie.

K.Z.: Gdybyś miał spróbować go zdefiniować, to na jakie cechy zwróciłbyś uwagę?

J.M.: Zamiłowanie do pierwocin naukowego spojrzenia. Duchowej eksploracji świata nieznanego. Rekomendacji współczesnej idei i jej implantacji dramatycznej. W wielu przypadkach szacunek do pierwszych dokonań.

K.Z.: *Bizzaro fiction*, „fikcja dziwaczna”. Także ten termin, obok steampunku, pojawia się przy okazji charakterystyki Twojej twórczości. Co mógłbyś powiedzieć o swoich doświadczeniach z tym gatunkiem?

J.M.: To były szybko pisane krótkie historyjki, w których imaginacja przewyższała logikę. Nie wszystkie były udane, ale ich aberracja mogła być zaraźliwa. Na pewno była to sztuka fobopochodna, wręcz przywodząca na myśl bardziej lub mniej uzewnętrzniony psychiczny ekshibicjonizm. Mógłbym polecić *Butonia*, *Swetronia*, *Przebieralnię* czy *Maskaradona*.

K.Z.: Powróć jeszcze na chwilę do kwestii, która nurtuje mnie najbardziej. Jak myślisz: czy w świecie anglosaskim steampunk jest dziś tak samo popularną konwencją jak kilkanaście lat temu?

J.M.: Chyba nawet bardziej. Myślę, że spowszedniał.

K.Z.: Spowszedniał?

J.M.: Spowszedniał w sensie użyteczności. Pojawia się – w postaci pewnych elementów – w sporej liczbie produkcji *fantasy*. Mowa o alternatywnej technologii, która miałaby uwierzytelnić każdy wykreowany świat równoległy. Baśniowość spięta w ramy technologiczne. Tak więc wydaje mi się, że producent, twórca sięga po ten aspekt steampunku i używa go, traktuje instrumentalnie, aby łatwiej trafić do wyobraźni widza, czytelnika, odbiorcy. Bo oto nie trzeba niczego dogłębnie tłumaczyć, oto nie trzeba opierać się na fundamentalnych zasadach przyrodniczej natury, czy też egzekwować literalnie praw nauk ścisłych. Zdaje się, że owa uproszczona systematyka jest w kontradycji do dziewiętnastowiecznej tradycji popularyzowania – w dosłownym sensie – nauki i techniki. W sprzeczności do egzekwowania naukowej zasadności. Stąd pomyślałem o terminie lepiej charakteryzującym prozę, którą tworzę – nazwałem ją „retrofikcją”. Bo akurat pomimo mej fiksacji – trendu przewracania świata do góry nogami – staram się wpierv ów świat uwierzytelnić naukowo. Tak postawić na nogach, aby go móc efektownie potem przewrócić.

K.Z.: Debiutowałeś w 1977 roku, od tego czasu wiele publikowałeś, także w antologiach. Co więcej, ukazał się zbiór Twoich opowiadań, jedna trylogia, a niedługo ukaze się druga powieść z powstającego nowego cyklu. Jak wyglądają Twoje doświadczenia pisarskie? Czego nauczyłeś się przez te wszystkie lata pisarskiej kariery? Co zmieniło się w Twojej twórczości?

J.M.: Na pewno uległ ewolucji język. Zmieniło się też podejście do tworzenia literatury. Zamiast banalnych historyjek staram się konstruować bogatsze i źródłowo znacznie bardziej urozmaicone światy. Sięgam do prac naukowych zarówno protoplastów współczesnych nauk ścisłych, jak i do bogatych wyobrażeniowo obszarów przyszłych, cywilizacyjnych ekspresji.

K.Z.: Czy są tacy współcześni pisarze fantastyki, o których mógłbyś śmiało powiedzieć, że Cię ukształtowali? Czy ktoś szczególnie Cię zainspirował?

J.M.: Z polskich pisarzy na pewno największy wpływ na moje pisanie miał Wiktor Żwikiewicz. Wydawał mi się wówczas, gdy go poznałem, drugim Lemem. Ze światowych wzorców wymieniłbym Patricka White'a, spośród fantastycznych mistrzów – Philipa Dicka.

K.Z.: Czy jest jakaś współczesna książka fantastyczna lub fantastycznonaukowa, którą śmiało mógłbyś wskazać w gronie swoich ulubionych jako jedną z najlepszych?

J.M.: *Ubik* Philipa Dicka.

K.Z.: Trudno nie zauważyć, że przez te wszystkie lata wyrobiłeś sobie charakterystyczny, rozpoznawalny styl. Czy próbowałaś swoich sił w innych gatunkach i stylach czy pozostajesz wierny *bizzaro* i *steampunkowi*?

J.M.: Obecnie piszę powieść mieszczącą się w gatunku klasycznej fantastyki. Nosi tytuł *Aszeharia*. Powiem tylko, że odwołuję się do klimatów *Diuny* Herberta.

K.Z.: Gdybyś miał wskazać swój ulubiony tekst spośród wszystkich przez siebie napisanych: opowiadań, powieści, nowelek, co by to było?

J.M.: Na pewno *Necrolotum*, później *Światy Solarne* z ich rozwijającą się w warstwie przygodowej konceptualną głębią. Lubię *Wnetwstąpienie*, *Pasje mojej miłości* posiadały niegdyś moc, budzącą do mnie sympatię czytelników portalu „Nowej Fantastyki”, gdzie po raz drugi rozpoczynałem moje pisarstwo. *Homo pregnantus* omal nie został sfinalizowany w wersji krótkometrażowej tutaj, w Australii.

K.Z.: Praca nad którym z utworów najbardziej zapadła Ci w pamięć?

J.M.: Nad wspomnianym *Necrolotum*, ze względu na konieczność zgromadzenia ogromnej ilości dokumentacji faktograficznej. Wiele się nauczyłem.

K.Z.: Nad jakim dziełem teraz pracujesz? Możesz powiedzieć o nim kilka słów?

J.M.: Dwie opowieści *steampunkowe* i wspomniana *Aszeharia*. Akcja jednej z dwóch pierwszych przenosi nas na planetę dinozaurów, chodzi tutaj o transmisję biologicznych danych, druga znów – pod oceany. Nic jednak podwodnego, jest to przykład szalonej drogi postępu technologii *windziarskiej*.

K.Z.: Jeszcze jedno pytanie, które wydaje mi się bardzo na czasie, zanim przejdziemy do tematu *Trylogii Solarnej*. Pisarstwo w czasach zarazy. Jak obecna sytuacja: pandemia, *lockdown*, obostrzenia, widmo choroby, wpłynęła na Twoją pracę literacką?

J.M.: Najlepszym przykładem będzie tutaj *Szlachcic na Marsie*¹ odwołujący się do tematu duszności *covidowej*, którą ciężko z żoną przeszliśmy. W opowiadaniu znajdziemy na planecie poszukiwany w całej Galaktyce rzadki minerał zwany pulmolitem, który ma cudowną właściwość rozpuszczania i oddawania tlenu organizmowi gazożernemu.

¹ Opowiadanie opublikowane w zbiorze *Mars. Antologia polskiej fantastyki* (Maszczyżsyn, 2021b). Wszystkie przypisy – K.Z.

K.Z.: Obserwując Twoją aktywność w Internecie i mediach społecznościowych, można dostrzec silną fascynację różnymi niezwykle ciekawymi teoriami naukowymi i materiałami na temat tych teorii. Skąd się u Ciebie wzięła ta fascynacja?

J.M.: Gdy przybyłem do Australii w roku 1989, miałem właśnie w pamięci najświeższą lekturę, *Fundację* Isaaca Asimova, amerykańskiego pisarza, którego książki zrobiły na mnie piorunujące wrażenie. Stałem więc na rozdrożu. Oto ja, wypuszczony na szerokie wody tymczasowy analfabeta, nie mogłem się posilić żadną obiecującą mocne wrażenia lekturą. Dotarłem do antykwariatów, gdzie zakupiłem kolejne części *Fundacji*, jak również skompletowałem inne tomy z bogatej twórczości autora. Przyszło mi to niezmiernie łatwo. Kupowałem książki za grosze, a nie potrafiłem ich przeczytać. Szczególny dylemat. Zdolność tę osiągnąłem z mozołem i po czasie. Pracowałem nocami, uczyłem się w dzień, przed południem chodziłem do szkoły TAFE College. Potem spałem i znów pracowałem. Szybko zauważyłem, że ciągnie mnie do prac popularnonaukowych. Zacząłem czytać. Nareszcie! Oczywiście w pracy pisarskiej brak mi specjalistycznych narzędzi do wyciągania na światło dzienne własnych teorii. Nie robię tego. Ale zauważyłem, że nie trzeba być odkrywcą ani na tym polu, ani na żadnym innym. Odpowiedź jest ogólnie dostępna. Każdy cytat w zasięgu ręki. A wystarczy przeszukać Internet, aby odnaleźć publikacje oryginalne i oprzeć teorie własnej kosmogonii na zbiorze odpowiednio dobranych prac. Oczywiście, jeśli autorzy brzmiały sensownie i odpowiedzialnie.

K.Z.: Co przez to rozumiesz?

J.M.: Udaje się spotkać uczonych, którzy wybijają się ponad naukową przeciętność właśnie oryginalnością edukacyjnej wizji. Zaliczam do nich znanych wszystkim i mniej znanych. Pragnę ich wymienić, by rzucić pewne światło na przekrój moich zainteresowań. A są to astronomowie, paleontolodzy, fizycy i pełnej krwi ewolucjoniści. Nie sposób więc wymienić genialnych popularyzatorów, takich jak: Carl Sagan, Stephen Hawking, Richard Feynman, Fred Hoyle, James Lovelock, Richard Dawkins, Stephen Gould, Simon Conway Morris, Richard Fortey, Ken Croswell, John Barrow, Alan Guth, Brian Greene, Lynn Margulis, Dorion Sagan, Lee Smolin.

Ale również można zatrzymać się na dłużej przy pozycjach mniej znanych, takich jak: *Microcosm* Carla Zimmera, *Programming the Universe* Seta Lloyda lub *The Life of the Super-Earths* Dimitara Sasselova. To wszystko książki i autorzy, którzy zrobili na mnie ogromne, wręcz rewolucyjne wrażenie. Są inni, których poznałem pobieżnie lub z których teoriami tylko się zaznajomiłem. Te jak żywy ogień wzbudziły kontrowersje u innych, zatwardziały naukowych konserwatystów.

Mam tu na myśli *micropsychism* lub szczególne teorie czasu Mullera, które tak wżarły mi się w umysł, że aż na stałe do niego przyłgnęły.

K.Z.: Dlaczego akurat wiek XIX? Czy pewnego rodzaju steampunkowa rekonstrukcja wieku pary wiąże się ze szczególną fascynacją tym okresem historycznym?

J.M.: Literatura fantastyczna zawsze powinna się interesować tym, co niewyeksplloatowane do końca. Wiek XIX jakby przeciekl nam przez palce – zbyt prędko odszedł, zbyt szybko zabłysnął i zniknął w ociężałym, morderczym wieku XX. W którym, jak nigdy przedtem, ludzkość zabijała i nienawidziła siebie samej z takim zacięciem. Oto zagarnęła lata pełne optymizmu i wiary. Epoka wiktoriańska jakoś nie ciągnęła się tysiącami lat, jak to miało miejsce w przypadku starożytności. Wystrzeliła i zgasła niczym iskra. W wieku węgla, pary i stali nie zdążyliśmy się nacieszyć spokojnym rozkwitem ludzkiej rozbuchanej myśli. Rozkwitły pęk natychmiast się rozpadł i mimo że nie uwiądł od razu, to niczym dziki powój zaniósł nas do krainy niechcianej. Ku mocom nieopanowanym, nad którymi od samego początku wisiał wyrok katastroficznych wynaturzeń i rozlanej trucizny.

Znakomici pisarze na miarę Herberta Wellsa, Juliusza Verne'a czy Edgara R. Burroughsa żyli zbyt krótko i moim zdaniem napisali boleśnie za mało. Zagłębiając się w świat powieści Verne'a, czasem trudno uwierzyć, że zostały napisane w XIX wieku. Śmiałe wizje oraz niezmacona wiara w potęgę ludzkiego geniuszu i technologii stworzyły sugestywny obraz świata, który z dzisiejszego punktu widzenia wydaje się zbiorem trafnych wizji odkryć i wynalazków. Niewiele jednak brakowało, by świat nigdy nie poznał powieści Verne'a. O sukcesie urodzonego w 1828 roku pisarza zdecydował przypadek.

Nie ulega za to wątpliwości, że wielka wyobraźnia i wiedza w przypadku Verne'a spotkały się z nieprzeciętnym talentem. Nawet jeśli dziewiętnastowieczni futurologzy czy inżynierowie przedstawiali podobne rozwiązania, to właśnie Juliusz Verne spopularyzował je na tyle, by z technicznej ciekawostki, znanej jedynie gronu specjalistów, stały się wizjami oddziałującymi na wyobraźnię milionów czytelników.

Należało sobie zadać pytanie: czy jeśli Verne stałby się dla mnie wzorem literackim, to po jakie nurty popularnonaukowe mógłbym spróbować sięgnąć? Które z pasją i zaangażowaniem potrafiłbym omówić? Gdzie mógłbym zaprowadzić własne w tej dziedzinie dywagacje i przypuszczenia? Do jakich konkluzji, refleksji potrafiłbym doprowadzić?

Spróbujmy więc ten mój świat odkrywczy pobieżnie przybliżyć.

Otóż od dzieciństwa pasjonowały mnie astronomia i kosmologia. Zaczytywałem się w literaturze paleontologicznej i ewolucyjnej. Wielkimi inspiratorami myśli byli dla mnie autorzy, których już tutaj wymieniłem. Galaktyka jest podzielona w *Trylogii*... na dwie części rządzone przez zwaśnione teleportujące się potężne plemiona. Ich władza sięga niemal do samego środka wszechrzeczy.

No więc ja zapragnąłem powrotu do radości i entuzjazmu przeszłości. Zażyczyłem sobie ucieczki od natłoku ponurych wizji katastroficznych. I tak pojawiły się wizje współczesnej astronomii, a w szczególności światopogląd Carla Sagana, którego jestem entuzjastą, czy „hipoteza Gai” Jamesa Lovelocka przybierająca formę Istot Ekosferycznych na kartach *Trylogii Solarnej*. Nie zabrakło też odniesień do historycznych wizji naukowych; szczególnie tych dziewiętnastowiecznych, które użyte w konwencji wiktoriańskiej brzmią może dość staroświecko i nonsensownie, ale oczywiście są dla niektórych bohaterów powieści współczesne i witalne.

Mamy więc do czynienia w Światach Solarnych z udoskonalonym *anthropic principle*, gdzie rzeczy wprost nieprawdopodobne mieszają się z cudownymi. Nie chodzi tu bynajmniej o odkrywczy sens takiego obrazu, ale o metaforyczne uzmysłowienie sobie faktu – okoliczności skrajnie sprzyjającej. Światy Enklawy łączy jedno: niepojęty, nieogarniony i cudowny przymus technologicznego i naukowego rozwoju. Entuzjazm budowy, edukacji, samodoskonalenia.

K.Z.: Czym się kierowałeś, proponując czytelnikowi wizję takiego świata?

J.M.: Interesował mnie transhumanizm; poszukiwanie gatunkowych ograniczeń i wysunięcie postulatów ucieczki od uzyskanej w wyniku ewolucji mocno ograniczonej formy. Powstało pytanie: czy można poszerzyć horyzonty percepcji gatunku, a jeśli tak, to jak tego dokonać?

Taki akt wymagałby przystosowawczych cudów. Wymieniłbym dwóch kandydatów: po pierwsze, cud protetyczny – czyli wzbogacenie percepcyjnej wydolności gatunku poprzez zastosowanie protez wzmacniających pola mózgowie (ręka czy noga ma w mózgu strefy reakcji i kontroli), po drugie, cud ekosferyczny – dostarczamy otaczającej nas przestrzeni oprogramowania wzbogacającego zasadę antropiczną; tworzymy genialną, kontrolowaną przez organizm sferę Dysona.

Bo czy potrafimy sięgnąć poza naszą rzeczywistość? Powołać do życia prawa tu i teraz nieistniejące lub jeszcze nieobjawione? Prawa zakłete przez obecnych na kartach powieści mistrzów Pararelionu – rzeczywistości równoległych i światów wygasłych – już istniały. Pozostało tylko przeciągnąć je do nowej rzeczywistości. Czysta *fantasy*.

K.Z.: Mówiłeś o mistrzach Pararelionu, a to nasuwa mi pewne skojarzenia. Czy w powieściowym świecie czytelnik obcuje z jakiegoś rodzaju boskimi bytami lub innego rodzaju nadistotami?

J.M.: Hipotezy *intelligent design*, *anthropic principle*, *specified complexity* – że posłużę się bliskimi mi nazwami anglojęzycznymi – nie potrafią się wyzbyć elementów prezentacji nadistoty lub co najmniej świetnie wyregulowanego „nadmechanizmu” albo *super fine tuning* w strukturze uniwersum. W gatunku steampunk aż się prosiło, aby w filozoficzno-naukowym aspekcie zastanego świata pojawiła się Istota Ekosferyczna, czyli **byt biologiczno-mechaniczny, steamborg** – że pozwolę sobie zacytować Twoje słowa – zajmujący się wraz z zawartym wewnątrz gwiazdowym instrumentarium opieką nad powierzonym materiałem biologicznym ras i cywilizacji obecnych na polu Światów Solarnych. Mamy więc Enklawę, a w jej eterowej atmosferze setki milionów światów. Wydająca się kolebką życia inteligentnego, swego rodzaju gigantyczna, wyidealizowana technicznie sfera Dysona jest jednak narażona na nienawiść i intrygi Reliktorów, czyli sił hipotetycznego pierwotnego demiurga świata zaprzeszczonego. Otóż, zakłada on, że relacje między elementami materii obecne w *anthropic principle* są stałe i niezmiennie – stosunek części nieożywionej do ożywionej ma pozostać w stanie skrajnie zbalansowanym. Pragnie za wszelką cenę uniknąć stworzenia na nowo modelującego rzeczywistość superbytu, czegoś lub kogoś jeszcze bardziej sprzyjającego życiu i rozumowi. W powieści to Majestaty Shetti próbują opanować sztukę miniekspansji w mikroskali.

K.Z.: Mówiłeś, że wychowałeś się na twórczości Verne’a. Które z dzieł Czarodzieja z Nantes wywarło na Tobie największe wrażenie?

J.M.: *Tajemnicza wyspa*. Zdaje się, że jest to powieść, w której Verne skumulował wszystkie swoje dzieła, to powieść-kompendium. Odnajduję w niej klisze z wielu jego prac. Również ogień naukowej celebracji, entuzjazm odkrywcy, barwę eksploracji i bohaterów wprost nieprzemijających. Kocham to dzieło niemal tak jak *Dwa lata wakacji* – sztandarową książkę mojego dzieciństwa wraz z *Kapitanem Bloodem* i *Robinsonem Crusoe*.

K.Z.: W *Trylogii Solarnej* dobrze widoczny jest ten Verne’owski duch. Czy, a jeśli tak, to którzy jeszcze pisarze fantastyki XIX wieku wpłynęli na Twoją twórczość?

J.M.: Byli nimi w pierwszej kolejności: Edgar Rice Burroughs, Herbert George Wells, Karel Čapek, H.P. Lovecraft, Gustave Le Rouge, Jerzy Żuławski, Erazm Majewski. Ale są jeszcze inni, jest ich więcej.

K.Z.: Gdybyś miał polecić jedną książkę, która najlepiej oddaje ducha nieskrępowanej dziewiętnastowiecznej fantazji, to byłaby to...

J.M.: ...*Wielość światów zamieszkiwanych* Kamila Flammariona. Książkę posiadam w jej wydaniu z roku 1868. To znakomita pozycja dostępna za darmo w necie. Warto zajrzeć. Rzecz kapitalna, warta każdego wydanego dolara / każdej wydanej złotówki.

K.Z.: Pracujesz obecnie nad nowym cyklem. W *Necrolotum* konstruujesz świat podobnie jak w *Trylogii Solarnej* czy też w jakiś inny sposób podchodzisz do tematu steampunku?

J.M.: Precyzyjniej. Zdałem sobie sprawę, że muszę szerzej przedstawić swój punkt widzenia, znacznie lepiej udokumentować użyte terminy, niejako suankcjonować tworzone obrazy.

Brakuje tego w *Trylogii Solarnej*.

Króluje to samo spojrzenie. Alternatywna historia naukowego rozwoju. Fikcyjna linia postępu. Odkrycia niemające potwierdzenia w rzeczywistości. Podam tu przykład fikcyjnej dziedziny naukowej – kawitacji. Jest to bomba technologiczna. Australia w tajemnicy przed wszystkimi na świecie opracowała technologię zamiany materii stałej na płynną pod wpływem promiennika – kawitatora. W podziemiach tworzone są kawitaty – jaskinie sztucznie wydrążone gigantycznym palnikiem kawitacyjnym, które posłużą jako droga transportu podczas wojny podziemnej².

K.Z.: Powróćmy do *Trylogii*... Na jej kartach pojawia się specyficzny wizerunek maszyn i maszynizacji, co widać zwłaszcza w zamiłowaniu Alonbee do protetyki czy w samej obecności fantastycznych konstruktów, którymi posługują się różne rasy. Kim jednak staje się panna Cydonia? Czy poddana zabiegowi maszynizacji staje się najpełniejszym, samoświadomym steamborgiem (a przez twór ten rozumiem steampunkowego cyborga), czy też strona mechaniczna Cydonii dominuje nad ludzką i istota ta całkowicie traci swoje człowieczeństwo?

J.M.: W pewnym momencie traci swoje człowieczeństwo i zaprzeda się idei empatii do wszystkiego, co żywe. Z osobowości Cydonii nie pozostaje nic. Spróbuj wyobrazić sobie idealnego Boga, który zamiast umrzeć na krzyżu oddał się całkowicie pracy na rzecz ludzkiego dobrobytu, dobrostanu, miłości i ofiary. Zatraciłby się personalnie, rozplynałby się, roztopiłby się w wiecznym dawaniu i ofiarowaniu. Zgubił masę i wolę. I stał się prawem przyrody.

² Zostało to opisane w powieści *Chronometrus* (Maszczyzyn, 2021a), kontynuacji *Necrolotum*.

K.Z.: W jaki sposób przedstawiasz klasy społeczne w *Trylogii Solarnej*? Czy na losy steampunkowego wszechświata wpływają wyłącznie przedstawiciele elit – dżentelmeni?

J.M.: Wydawało mi się, że – pokażę na to na przykładzie Alonbee – dżentelmen będzie najlepszym rozwiązaniem. Otóż umiejętność telepatii nabyta przez bogatych arystokratów tej rasy pozwoliła im zapanować nad słabszymi umysłami. Jeśli pojawiał się zdolny przeciwnik, każdy arystokrata potrafił przejąć jego umysł i ciało, po czym, pochłonawszy jego wiedzę, odrzucał je jako zbyteczne. Tak dzieje się w społeczeństwach, w których wdzięczność i lojalność występują rzadko. Jestem raczej pesymistą niż optymistą. Bardziej czarnowidzem niż jasnowidzem.

K.Z.: *Trylogia Solarna* to steampunk, który zawiera w sobie to, co za Mikiem Perschonem nazywam impulsami nostalgicznym i melancholijnym. Odniesienia do epoki pary są z jednej strony nostalgiczne, typowo verne'owskie, a z drugiej strony niezwykle melancholijne, ponieważ nie poprzestajesz wyłącznie na pozytywnych wyobrażeniach „długiego wieku XIX”, a z brutalną bezwzględnością odtwarzasz także jego mroczne strony. Widać to zwłaszcza w relacjach bohaterów oraz ich sposobie postrzegania świata.

J.M.: Moja nostalgia łączy się raczej z romantyzmem, z dynamicznym duchem epoki, eksploracji, przygody oraz wiarą w naukę i postęp. Wiem, jakie piętno prześladuje ludzkość. Jakim obliczem XIX wiek zwrócił się wobec problemów społeczno-politycznych. Wzburzył społeczeństwo, zmusił je do rewolucji, obudził w nim przerażającego ducha nacjonalistycznego, porwał do wojen i ludobójstwa. Człowiek stanął u progu roku 1900 świeży, a szybko stał się słaby i bezbronny. Miał ciężki orzech do zgryzienia. Rozum ponad miarę. I ja takiego nieskalanego światowymi wojnami i mordami człowieka postanowiłem wysłać, by eksplorował wszystkie dziwne światy. Taki właśnie, jeszcze nieubrudzony doktrynami, najbardziej mi się podobał. Takim widziałem go w wielkiej przyszłości cywilizacji.

Takim jest właśnie w *Necrolotum* i *Chronometrusie*. Wielki, nieprzewidywalny – dla swojej, ludzkiej, rasy – zaborczy.

K.Z.: Podczas naszej poprzedniej rozmowy wspominałeś, że pisząc *Trylogię...*, koncentrowałeś się na alternatywności nie historii, tylko pola naukowego, co zresztą widać w samej powieści, w której adaptujesz różne teorie i rozważania naukowe oraz popularnonaukowe. To zagadnienie wydaje się bardzo ciekawe. Czy mógłbyś opowiedzieć więcej na ten temat?

J.M.: Jak już gdzieś wspomniałem, postęp naukowy polega na procesie ciągłej walidacji. Mamy do czynienia z nieustannym odkrywaniem utrudnień. Dostrzegamy pewien aspekt

rzeczywistości, a następnie podczas próby analizy okazuje się, że część zjawiska znajduje wy tłumaczenie w teoriach już znanych, dotyczących innych dziedzin wiedzy. Szufiadkujemy więc nasze odkrycie. Okazuje się wkrótce, że nowo poznany proces składa się z nowych pięciu składowych nieznanach naszej myśli. Składowe te mogą być zczynem nowych teorii. Tworzymy te teorie, przy okazji odkrywając nowe pole rzeczywistości. Zatem zmuszeni jesteśmy do przewartościowywania naszego generalnego spojrzenia. Powstaje nowa mapa poznanej rzeczywistości, w której obszary pierwszoplanowe widziane wczoraj dzisiaj stają się tłem. I nie oznacza to bynajmniej postępu bezwzględneho, a dowodzi powstania nowego wglądu, poszerzenia i zgody. Jakbyśmy nagle uzyskali siódmy, dziewiąty zmysł naszej percepcji i spoglądali nie z wysoła, a z innej strony na to samo, wciąż nie rozumiejąc całości. Tak to czuję.

Wzór dziurki od klucza przy przejściu do ekologicznej niszy mocno nas zniekształcił. Nie potrafimy się uwolnić od zakłętego kręgu myślenia, wniosowania, dzielenia całości na kawałki i beznadziei prób łączenia tego, co wczoraj podzieliliśmy. Nowatorstwo polega tu tylko na sile nowej interpretacji.

K.Z.: Rozmawialiśmy jakiś czas temu o skali Kardaszowa i teraz pozwolę sobie wrócić do tej rozmowy. Kardaszow mówi, że wykorzystanie energii jest wyznacznikiem rozwoju cywilizacji. Pamiętam, że sugerowałeś inny rodzaj podziału rozwojowego cywilizacji. Czy zdradzisz, jak ów podział wygląda w Trylogii...?

J.M.: Kardaszow opracował swoje teorie w okresie komunistycznego boomu, są więc dla mnie przesiąknięte marksizmem, leninizmem, materialistycznym wysiłkiem mas pracujących, wydatkujących swój programowy produkt na coraz większym energetycznym obszarze i w miarę osiągniętych celów planujących dalsze zwielokrotnienie nakładów. Kłania się tu wzrastająca w postępie geometrycznym gospodarka planowa. Więcej energii, zwiększona dostępność środków produkcji, większy dobrobyt jednostek współtworzących cywilizację i jeszcze większa potrzeba rozwoju energii. Przepraszam za ten polityczny wstęp, ale jest mi niezbędny do przeprowadzenia doświadczenia z efektem kontrastu.

Bo jeśli mówimy o klasyfikacji opartej na sferze Dysona, to zahaczamy o biologię, o klasyfikację organizmów pod kątem ich przystosowania do środowiska, o ich uniwersalność.

K.Z.: Co rozumiesz przez uniwersalność organizmów?

J.M.: Gdy mówię o uniwersalności organizmów, mam na myśli uniwersalne klisze zachowania zwane automatyzmem. Wyobraźmy sobie wiązkę skoordynowanej informacji i jej wirtualne rzutowanie na tło, na wymagający i egzekwujący każdą

zasadność bytu ekran środowiska. Oto jego struktura opiera się na wartościach twardo wpisanych we wszelkie tego bytu zaistnienie, albo go wspierających, albo negujących. Owe dane podlegają ciągłej detekcji i walidacji. W procesie biorą udział nie tylko zdolności percepcyjne – wspierające poszukiwanie egzystencjalnej niszy na podstawie danych opartych na detekcji – ale również percepcja całościowa. Organizm całościowo albo przeżyje zderzenie z nieprzyjaznym środowiskiem, albo to zderzenie odchoruje i nie będzie już takim samym indywiduum, dozna nieodwracalnej alternacji, stanie u podstawy nowego gatunku. I tegoż zachowania wymaga odeń stały proces ewolucji. A to już jest mistrzostwo, uniwersalizm, cud.

K.Z.: Powróćmy do naszej klasyfikacji...

J.M.: Musimy rozpocząć omówienie skali opartej na sferze Dysona od pierwszego elementu żywego, od drobnoustroju, który znajduje sobie w środowisku takie miejsce, w którym osiągnie największe dla siebie i swojego gatunku korzyści ewolucyjne. Zagrabi część otoczenia (najbliższe otoczenie jest inne, obce i nieprzyjazne), kolonizuje obszar, zmienia go i do siebie przystosowuje. Zatem zwiększa masę zawiadującej przestrzenią materii.

Różne są interpretacje teorii ewolucji. Ja przychyliam się do koncepcji ekologicznej niszy jako tej inspirującej i określającej gatunek, jak i go finalnie zamykającej na danym etapie rozwoju.

Jak to działa? Otóż na przykład populacja drobnoustroju zwiększa się do tego stopnia, że osłabia opór środowiska. Nagle ów drobnoustrój znajduje się w rzeczywistości, w której nie ma nic poza nim. Staje się samowystarczalny, uzyskuje grupy sprzymierzeńców, symbiontów. Rozrasta się i buduje ekosystemy – jak koralowiec.

Oto przykład delikatnie zaznaczonej strefy, nazwijmy ją strefą Dysona – tak ją ja rozumiem.

K.Z.: Nadal mówimy o sferze?

J.M.: Lepiej mówić w tym wypadku o strefie. Strefa może zaistnieć w obszarze ograniczonym. Na przykład: jak zgeneralizować systematykę strefy życia w podziemnych oceanach księżyców Jowisza? Musi zaistnieć pewna generalna zasada. Uprości ona poszukiwanie życia – wody w stanie ciekłym czy wody nasyconej tlenem lub innym gazem. Czyli strefy funkcjonowania zasad sprzyjających środowisku *pro life*. Termin „sfera” jest używany generalnie w sensie mocno ograniczonym tylko do makroobszaru, a mógłby mieć szersze zastosowanie. Od skali mikro aż do makro. Tak jak funkcjonuje zasada entropiczna – istnieje w tle wszelkich procesów fizykochemicznych. Widziałbym tu analogię.

K.Z.: To bardzo ciekawe. Możesz powiedzieć coś więcej?

J.M.: Zwykło się uważać, że w przyrodzie funkcjonuje pewien idealny obszar przystosowawczy. To on jest odpowiedzialny za początkowe optymalne sukcesy nowego gatunku. W wyniku dalszego przemieszczania się w terenie jednostki reprezentatywne dla gatunku natrafiają na obszary wrogie, wkraczają w inną strefę, należącą do konkurencji. Aby przetrwać w niezmienionej formie, muszą w miarę możliwości odtworzyć warunki bazowe, które wykończą konkurenta, a owym jednostkom zapewnią proliferację. Może to być na przykład beton, szkło, asfalt, brak drzew i zatruta woda. I oto widzimy pierwszy szczebel uporządkowania. Jednostka stara się odtworzyć gniazdo, bezpieczny dom – tylko dla siebie. To już nie drobnoustrój, który ginie albo w gorączkowej eksploracji i multiplikacji odnajduje obszar krótkotrwanie mu sprzyjający. To istota żywa, która czyni dla siebie wszelkie „dobro”, a otoczenie traktuje instrumentalnie. Jeśli opowiemy o gatunku inteligentnym, to wspomnimy jego zorganizowane miasta, być może pochwalimy świetnie zorganizowaną planetę lub system zasymilowanych układów gwiazdnych tworzących przyjazne dla istot żywych formy współistnienia, a może jeszcze galaktykę, której obracanie się w określonym rytmie wytwarza jeszcze większą energię. Nie jest to już przystosowanie bierne. Jest to agresywna implementacja nowej natury. Oto ewolucja formy żywej, która wyłącznie dla siebie zaadaptowała rzeczywistość.

Zatem klasyfikacja rozwoju cywilizacyjnego winna opierać się na zdolności istoty do transformacji otaczającego ją świata. Być może objawem profesjonalizmu danej istoty w tej dziedzinie byłoby stworzenie enklawy multiplikującej N razy zasadę antropiczną.

K.Z.: Na potrzeby swoich powieści adaptujesz różne teorie naukowe. Wydaje się to niezwykle interesujące. Możesz powiedzieć, na ślady jakich innych teorii można natrafić w Twoich książkach?

J.M.: Trudno mi to w tej chwili doprecyzować. Cały ten miks popularnonaukowej zawartości wydał taki, a nie inny owoc. Gdy patrzemy na dorobek Verne'a, rzuca się w oczy pewna skłonność autora do dzielenia się prywatnymi fascynacjami. I ja w swojej skromnej twórczości zapragnąłem uczynić podobnie. Przecież przeżywam świat na swój sposób, więc uprawniony jestem do dzielenia się wrażeniami z mego obcowania z rzeczywistością. Pragnę, aby nie tylko akcja powieści mnie wciągała. Musi być w niej coś więcej. Jakaś nieokiełzana pasja odkrywania rzeczywistości. Wiem, jestem mały, ale obcowanie z tak piękną tajemnicą prawdziwie mnie uszlachetnia. Chciałbym część z tych myśli, wątpliwości odkryć i przelać na papier.

Gdy w księgarni podchodzę do książki, zwykle jej podtytuł wyzwała mój własny pomysł na tę książkę. Jeszcze jej nie kupiłem, a już wymarzyłem sobie, o czym jest. Po chwili wertowania odkrywam, że niestety była to tylko moja interpretacja tytułu i nic z tego. W przeciwnym wypadku z radością produkt nabywam.

K.Z.: Z jakich źródeł czerpałeś wiedzę o dziewiętnastowiecznych rozważaniach naukowych na temat kosmosu i wszechświata?

J.M.: Przyznam, że w większości była to wiedza internetowa. Jednakże posiadam kilka wydanych w owym czasie prac popularnonaukowych z zakresu astronomii w obu językach. Genialna jest wspomniana już przeze mnie praca Flammariona³ wydana w 1868 roku w Warszawie. Autor był ówczesnym Carlem Saganem. Przedstawił problem istnienia kosmicznych światów biologicznych i analizował go pod wieloma różnymi kątami. Zastanawiał się nad aspektami filozoficznymi, religijnymi i społecznymi. Sięgał po wiedzę ekstremalną, to jest po śmiałe hipotezy współczesnych mu naukowców i profesorów. Sam przy tym był osobą o szerokich horyzontach, otwartą na novum i śmiałą w dywagacjach. Absolutnie mnie zachwycił. Posiadam również dziewiętnastowieczne prace z zakresu geologii i paleontologii. Nie sposób nie wspomnieć o literaturze fantastycznej, której autorzy w wielu wypadkach powołują się na opinie nauki im współczesnej.

K.Z.: Czy Enklawa, w której panują doskonałe warunki do zaistnienia pewnej konkretnej cywilizacji, w której urzeczywistniają się teoretyczne rozważania naukowe dziewiętnastowiecznych naukowców i fantastów, jest pewnego rodzaju utopią? Idealnym światem, w którym wiek XIX nigdy się nie skończy, ponieważ nie ma lepszego sposobu na jego „okiełznanie”?

J.M.: Cywilizacja Enklawy jest oczywiście pewnego rodzaju utopią. Całe to uniwersum zostało zbudowane na fundamencie „dziewiętnastowieczności”, ale nie tylko ludzkiej, bo również tej obcej, wielorasowej, międzygwiazdnej. Wiek XIX musiał być różny na powierzchniach różnych planet. Człowiek pozostawiony sam sobie na planetach drugiego Słońca zbudował możliwą dla siebie cywilizację, całkiem znaną z naszego punktu widzenia. Reszta Układu Słonecznego też była zamieszkała. Nie było w nim piędzi ziemi jałowej i uśmierconej. Można przypuszczać, że jeśli w enklawicznej eterycznej przestrzeni kosmicznej mogli przetrwać ludzie, to tym bardziej spory, nasiona czy organizmy zwierzęce. Na przykład ptaki znane nam z międzyplanetarnych wędrówek z układu Pluton – Hamaia.

3 Chodzi o *Wielość światów zamieszkiwanych* (Flammarion, 1868).

Po prostu na podstawie określonych praw przyrody – a to za sprawą czuwających moderatorów – człowiek mógł okiełznać proces kolonizacji globów. Nie tak jak to bywa na Ziemi, w naszej rzeczywistości, gdy każdemu odkrywaniu towarzyszy góra nowych obiektywnych trudności.

Wystrzelić pocisk marsjański? Nic prostszego. Wykorzystać do pokładowej grawitacji odległe obiekty kosmiczne? Proszę bardzo – posiadamy znakomite soczewki wzmacniające odległe fale grawitacyjne w podłodze każdego pociskolotu. A nad wszystkim czuwa byt duchowy, który umożliwi tego rodzaju manipulacje. Byt ten mógłby być do tego zdolny, gdybyśmy założyli, że teoria programowania wszechświata Setha Lloyd'a jest słuszna. Gdybyśmy poczynili założenie, że nasi bohaterowie znajdują się wewnątrz gigantycznego sztucznego komputera kwantowego zawiadywanego przez moderatora, boga, demiurga, biologicznego steamborga, wszystko ułożyłoby się w piękną całość.

K.Z.: Na zakończenie jeszcze jedna kwestia, która bardzo mnie ciekawi. Jaką rolę w *Trylogii Solarnej* pełni Ziemia? I myślę tutaj nie o Starej Ziemi, z której przybywa załoga Hawidona, ale o Nowej Ziemi Sir Ashleya, planecie, na której pozyskuje się niewolników i na której zakładane są plantacje. Czy jest to kolebka ludzkości, z pierwotnymi rasami Australionu i Afrikonu, czy też świat, który u zarania swojego istnienia został zaprojektowany w taki sposób, aby ową kolebkę ludzkości imitować? Czy Ziemia stanowi pewną atrapę czy też jej rola jest o wiele bardziej istotna?

J.M.: Zastanawiając się nad inżynierią przestrzenną Houlotee, wpadłem nagle na pomysł, aby byli oni zdolni nie tylko do alternacji danych lokalnego pola grawitacyjnego, ale również do kopiowania tych zależności w dowolnej lokalizacji galaktycznej. Przemieszczałiby się niejako z gotowym szablonem i oferowaliby zestaw usług dowolnej cywilizacji kosmicznej przy okazji rekonstrukcji, aktualizacji, przebudowy jej siedliska planetarnego (obejmującego cały układ planetarny). W zakres wchodziłoby holowanie planet oraz walidacja ich wartości masowej – stosowna do potrzeb klienta.

A stąd już tylko krok do drukarki przestrzennej. Powstała więc idea wypełnionej przestrzeni kosmicznej – powiedzmy: kilkanaście fantastycznych budynków przyszłościowej sieci drukarskiej 3D rozmieszczonej na terenie dowolnego kraju. Wszystkie jednocześnie w czasie *now* byłyby zdolne wytworzyć ten sam autentyczny produkt. Gdybym dodał „żywy” – animowany, aktualizowany w czasie teraźniejszym – to powiedziałbym o nim wszystko. Sygnał musiałby się poruszać z prędkością centralną, a nie relatywistyczną. Mamy więc do czynienia z kopiami planety Ziemi rozrzuconymi gdzieś w polu

Galaktyki. Oczywiście przyszło mi do głowy, że jest to jakaś pozostałość po rasach jeszcze starszych, antycznych, bardziej rozwiniętych, do których annałów informacyjnych miała dostęp rasa Houlootee.

K.Z.: A co z pozostałymi ludzkimi rasami? Aborygenami, mieszkańcami Afrikonu czy Azjonu?

J.M.: Szczerze powiedziawszy, zagubiłem się w problematyce rasistowskiej. O rasizm zostałem oskarżony w jednej z recenzji. Zamyśl był – jak wiesz, bo przeczytałeś całość – inny. Nie jestem rasistą, pisząc, myślałem, że temat ten jest naprawdę *passé*. A tu poniewczasie się okazuje, że jest on całkiem aktualny, bieżący. Musiałbym wszystkie kolorowe rasy ludzkie zamieszkujące Światy Solarne pogrążyć, a miałem tego dość już przy okazji opisywania konfliktów pomiędzy ludźmi białymi i czarnymi.

Hindusów zatrudniłem w powieściowym *Necrolotum*. Mechanizm odniesienia pozostał jednak taki sam. Nasza biała perspektywa widziana z alternatywnego, dziewiętnastowiecznego okna jest straszna. Ale to szczerza prawda. Należy się trzymać obowiązujących wtedy reguł.

K.Z.: Mając w pamięci naszą ostatnią rozmowę, dopytam o trzy poziomy naukowe interpretacji świata. Temat zarazem interesujący i tajemniczy. Czy na zakończenie naszej pasjonującej rozmowy mógłbyś powiedzieć więcej na ten temat?

J.M.: W „trzech poziomach naukowej interpretacji świata” podjąłem się – jak dla mnie – ambitnego zadania zestawienia światów naukowej interpretacji. Mam tu na myśli „aktualność światopoglądową”. Otóż tacy dziewiętnastowieczni profesorowie daliby się wówczas pokroić za swoje poglądy. Uznałem więc, że świetny będzie proces skonfliktowania ich na polu powieściowym. I koniecznie ich światopogląd miał być podbudowany dowodowo – a to za sprawą istniejącej rzeczywistości „świata do góry nogami”, Enklawy.

Konflikt światopoglądowy powstaje dlatego, że spoglądamy na naszych przodków z zarozumiałym uśmiechem, oceniając ich z perspektywy naszej wiedzy dwudziestowiecznej – oczywiście podpartej doświadczeniem technicznym – ale nie jest to ostateczny wynik procesu poznania.

W świecie powieściowym umieszczamy wiek XX na poziomie drugim, walidacyjnym. Czujemy, że nasza krytyka jest usprawiedliwiona. Popieramy krytyczne stanowisko admirała Leighta.

W trzecim poglądzie zawierałyby się dane z prac teoretycznej, popularnonaukowej awangardy. Dlaczego teoretycznej? Bo oficjalnie teorie te nie doczekały się jeszcze walidacji. Przekonały niewielką garstkę naukowców i mnie, ukształtowały mój obecny status obserwacyjny. Do takich prac zaliczylibym na

przykład *Now: The Physics of Time* Richarda A. Mullera. Autor podejmuje w swym opracowaniu tematy takie jak relatywizm, entropia, *entanglement*, antymateria i wreszcie najważniejsze – czas. Dowodzi, że Wielki Wybuch był nie tylko początkiem ekspansji przestrzennej wszechświata, ale również źródłem tak zwanej fali *now*. Grzbietem ekspansywnej fali. Czyli, krótko mówiąc, stał się źródłem nie tylko ekspandującej przestrzeni, ale i czasu, który mamy tendencję od tej przestrzeni separować i któremu przypisujemy osobny byt – chcemy widzieć czas jako wymiarowy, podczas gdy jest zjawiskiem punktowym. Czasoprzestrzeń bowiem to jedność. Ekspansja filtrowana – z różnym skutkiem – przez obecność materii pozostawia ślad jednej składowej. To jest: im większa masa lub prędkość, tym bardziej zmniejsza się energia przepływu fali – czasu, a przy prędkości światła zmierza do zera. Dla mnie to książka genialna. Wśród innych pozycji wymieniałbym *The End of Time* Juliana Barboura, *A Briefer History of Time* Stephena Hawkinga i Leonarda Mlodinowa, *The Five Ages of the Universe* Freda Adamsa i Grega Laughlina, no i wreszcie *Programing the Universe: A Quantum Computer Scientist Takes on the Cosmos* autorstwa Setha Lloyd'a.

K.Z.: Bardzo dziękuję Ci za naszą pasjonującą rozmowę...

Bibliografia

- Flammmarion Kamil, 1868: *Wielość światów zamieszkiwanych. Studium w którym wykładają się warunki zamieszkalności ziem niebieskich, roztrząsane ze stanowiska astronomii, fizjologii i filozofii naturalnej*. Przeł. Jakub Waga. W Drukarni Józefa Ungra, Warszawa.
- Maszczyzyn Jan, 2021a: *Chronometrus. Powieść chronomocyjna*. Genius Creations, Bydgoszcz.
- Maszczyzyn Jan, 2021b: *Szlachcic na Marsie*. W: *Antologia polskiej fantastyki*. Wybór i posł. Wojtek Sedeńko. Stalker Books, Olsztyn [e-book, epub].